Rok 1901. Lwów, 12. Maja Nr. 18.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·-	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·-	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·-	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów, Cicha 5.



Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.



Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 12. Maja Nr. 18.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ ⅓
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać z góry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO" Lwów · Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe, za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE" po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego" po 3 korony od 100 egzempl.

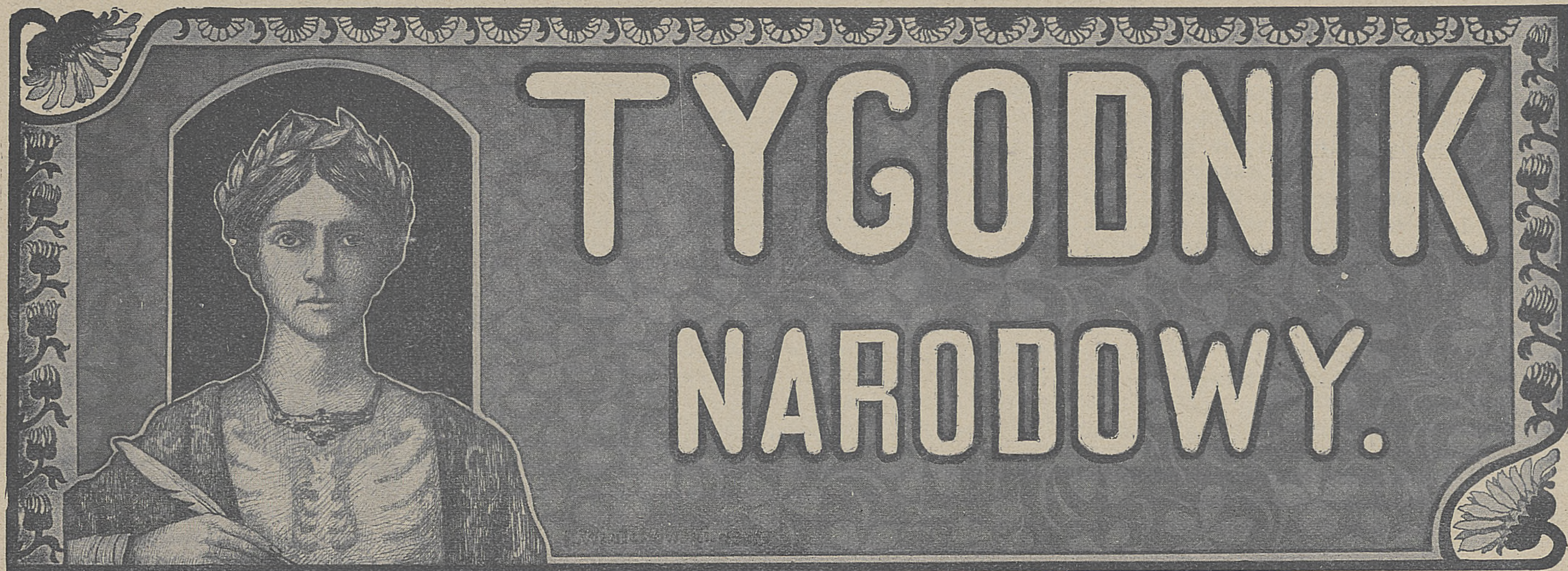
Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego" we Lwowie przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego", ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 12. maja Nr. 18.



Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11., Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 18:

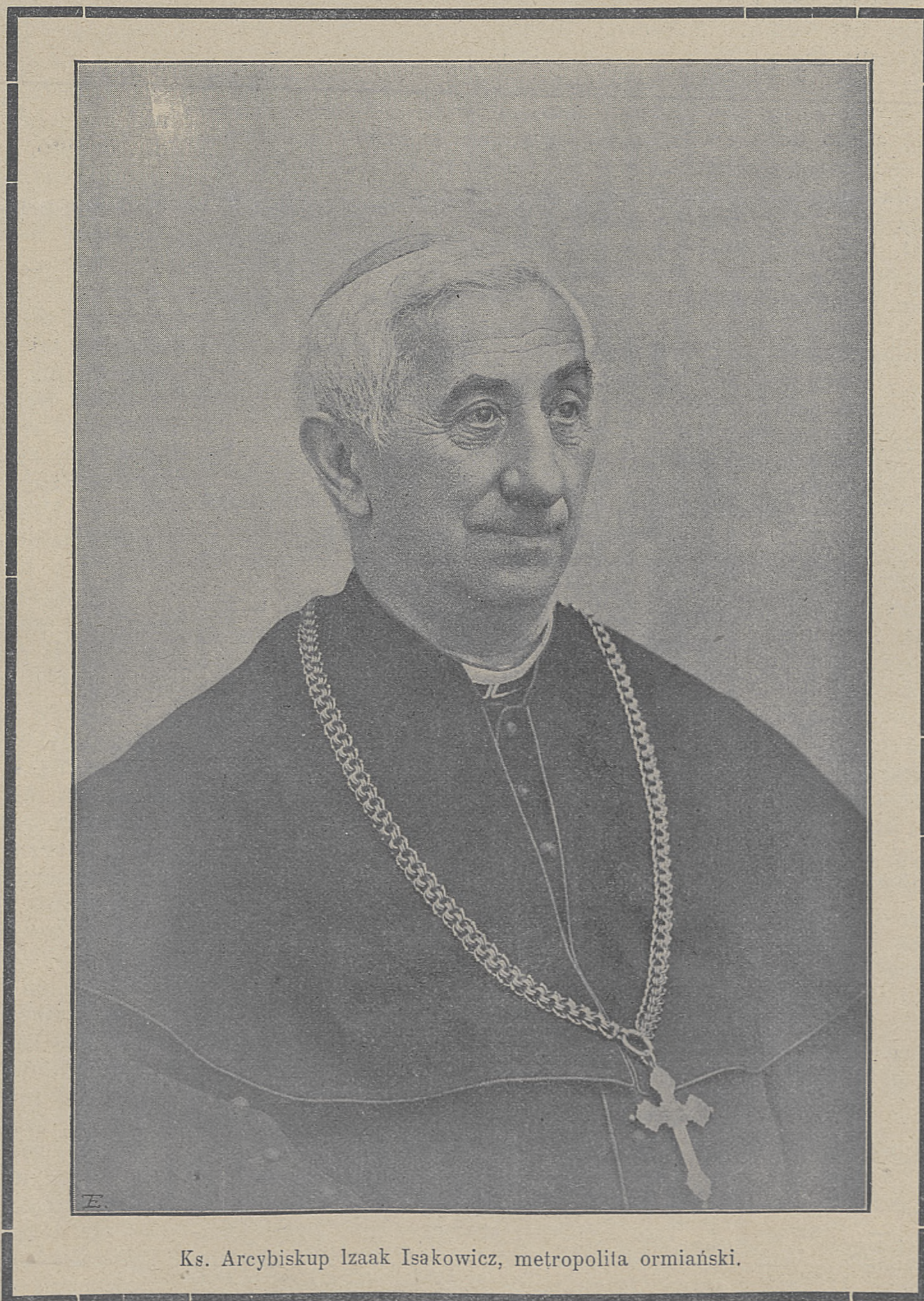
Żebranina.

Ze sprawozdań o jubileuszu Sienkiewicza wiele wypadło już z pamięci. Lepiej atoli, niż wiele innych artykułów, wbija się w pamięć to, co któryś z dzienników warszawskich napisał o listach żebraczych, któremi rodacy obsypują autora „Krzyżaków“.

Sienkiewicz jest panem na Oblęgorku. Trzeba to wyzyskać czemprędzej. Dalej więc, kto w Boga wierzy, pisze do niego o pieniądze. Jednemu potrzeba trzystu rubli, drugiemu tysiąca, trzeciemu dziesięciu tysięcy. Sterta listów urasta codzień.

Sienkiewicz nie jest wyjątkiem. Napastowanie ludzi, o których się przypuszcza, że daliby się naciągnąć, dochodzi w naszem społeczeństwie do rozmiarów przerażających. Trudno sobie wyobrazić, jakie pretensye mieszczą się niekiedy w takich listach żebraczych. Ci, co je pisują, mają oczywiście niesłychaną pogardę dla żebraków ulicznych. „Idź próżniaku do schroniska — mówi taki pan do dziada — nie wałęsaj się po chodniku.“ On sam żebrze przez pocztę. To mu nadaje całkiem inne stanowisko towarzyskie.

Nie mieszajmy dwóch rzeczy całkiem odmiennych. Co innego jest uciekanie się do pomocy ludzkiej w chwili nagłej katastrofy lub prośba o pożyczkę w nadziei nie-



Ks. Arcybiskup Izaak Isakowicz, metropolita ormiański.

wątpliwego zarobku, a co innego to lekkomyślne spuszczanie się na cudzą pomoc, która ma nam umożebnić używanie darów doczesnych, na jakie sami zapracować nie umiemy.

Rodzina, która nagle musi wezwać lekarza i którą z tego powodu spotyka nieprzewidziany wydatek, ma prawo uciec się do usłużności przyjaciół. Nie takie wypadki mamy tu na myśli. Wszystkich razi to rozpowszechnione pukanie na prawo i na lewo, to zdawanie się na łaskę losu, w przekonaniu, że gdy wszystko zawiedzie, to jeszcze się zawsze coś wyżebrać uda.

Brać pieniądze jest przyjemnie, ale prosić o nie djablo niemiło. Kto siada, by pisać prośbę o zapomogę, kto bierze za klamkę, by wszedłszy do mieszkania, zapytać gospodarza: „czy nie sprawiłoby mu to różnicy...“ musi stoczyć ze sobą walkę dość przykrą. W walce tej przechyla się ostatecznie szala na rzecz wzięcia pożyczki, a momentem decydującym jest tu frazes o obowiązku wspierania potrzebujących.

Mało jest ogólników, bardziej nadużywanych. Wszyscy wiemy, że na ludziach bogatych cięży obowiązek, wielki i święty, obowiązek pamiętania o tem, ażeby w społeczeństwie było jaknajmniej głodnych i nagich, obowiązek myślenia nietylko o wła-

snem jutrze, ale i o jutrze tych, którzy nie mają gdzie głowy schronić i do ust co włożyć. Ale żaden filantrop, żaden reformator, żaden przyjaciel ludzkości nie twierdził jeszcze dotychczas, że ludzie bogaci powinni udzielać jałmużny w tym celu, ażeby ten, kto może rozkoszować się „Halką“ i „Trubadurem“ z galeryi, miał za co siedzieć w loży, lub na to, żeby ten, kogo stać na rosół i kawałek mięsa, mógł sobie pozwolić na paszteciki lub leguminę. Tego nie głoszą i nie obiecują nawet socyaliści. Tak pojęta teorya wspierania uboższych przez bogatszych, wylęga się tylko w umysłach ludzi, lubiących żyć cudzym kosztem. U nas są ludzie, i to w liczbie niemałej, którzy lubią układać szczegółowy budżet wydatków. Gdy polak przysiądzie fałdów i powie sobie, że trzeba raz przecie zaprowadzić jakiś ład w wydatkach, to potrafi ułożyć dla siebie, dla żony, dla dzieci budżet tak rozumny, tak oszczędny, tak szczegółowy, iż ani niemiec, ani anglik lepiejby tego nie zrobił. Ale niemiec i anglik trzymają się z żelazną wytrwałością tego, co postanowili, a Polak zaczyna już nazajutrz rano robić wydatki ponad granicę budżetem zakreśloną. Brak mu silnej woli.

A nigdy już nie można robić tak świetnych obserwacyi nad tą narodową miękkością woli, jak gdy idzie o oddawanie długu. Pożyczamy na cztery dni, na tydzień, na miesiąc, ale głupi, kto na tem polega. Bywają i tacy, którzy używają tej formułki jedynie dlatego, bo nie mają dosyć hartu, dosyć śmiałości, by wyznać prawdę, bo boją się powiedzieć, że nie mają pojęcia, kiedy i z czego oddadzą. Ale ogromna większość wierzy święcie w to, co mówi. On odda. Kto wątpi, ten mu śmiertelną wyrządza zniewagę. Od ust będzie sobie odejmował. Nie doje, nie dośpi, a odda. Można tego dotrzymać, ale trzeba mieć tę wolę niezłomną, której nam Opatrzność nie dała.

Żebranina wypacza charaktery, zabija poczucie wstydu, oswaja nas z tem nieszczęsnem zdawaniem się na łaskę losu, które jest znamieniem społeczeństw słabych, a którego nie znają społeczeństwa silne. Żebranina wykrzywia nasze pojęcia o ludziach. Kłaniamy się nizko głupcowi, który nam dał sto rubli, a odzywamy się z przekąsem i żółcią o człowieku rozumnym, bo nam odmówił datku czy pożyczki.

Ale obok tego jest zło inne. Żebranina zabija ofiarność w ludziach bogatych. To jest zjawisko, z którem liczyć się trzeba. Kto odbiera codzień stosy listów, przepełnionych łzami i jękiem, a zakończonych najniedorzeczniejszemi, najcudaczniejszemi prośbami, ten staje się ostatecznie nieczuły na głos prawdziwej nędzy, a kto musiał okupić się natrętom, tego nieraz naprawdę niestać na popieranie celów szlachetnych.



Prof. Bronisław Gustawicz.

Ochrona zwierząt i słówko do matek.

N i e m a t a m r z e t e l n e g o w y c h o w a n i a, a n i p r a w d z i w i e z a c n e g o s e r c a, g d z i e n i e m a l i t o ś c i n a d z w i e r z ę t a m i“ — powiedział niemal sto lat temu kanclerz i lord angielski T o m a s z E r s k i n e (1710—1823).

Chłód, owiewający wrodzony anglikom charakter, widocznie jest pozorny, jeżeli ten znakomity mowca i mąż stanu umiał wypowiedzieć słowa tak serdecznego współczucia dla zwierząt. I oto wnet, przeważnie w Anglii, przed stu laty, zawiązują się towarzystwa ochrony zwierząt, — rozwijają się tam, mnożą, rosną i wprowadzają podobne stowarzyszenia w ruch i życie w innych krajach na stałym lądzie Europy i na drugich częściach ziemi; łączą się z niemi ludzie wysokiego stanowiska, łączy się z niemi również i świat naukowy, a każdy poczytuje sobie za chlubę przyłożyć cegiełkę do tak skromnej, ale pożytecznej działalności.

Lecz jak wszędzie, tak i na tej drodze spotykamy niedowiarków, którzy nie pojmują, ba nawet nie chcą pojąć, że cel towarzystw opieki nad zwierzętami oddziaływa nie tylko na korzyść zwierząt, ale i na umoralnienie ludzkości. Jest to bowiem otwarta walka przeciwko okrucieństwu i dzikim często narowom serca człowieka. Także pogodzić miłość względem ludzi z pastwieniem się nad zwierzęciem, owem stworzeniem boskiem? Niepodobna przecież ukochać ludzkości, niepodobna przecież wydoskonalić charakteru, nie żywiąc w sobie i s k i e r k i w s p ó ł c z u c i a dla zwierząt. Na tej zasadzie towarzystwom ochrony zwierząt należy przyznać głębsze i poważniejsze znaczenie, niż to na pozór sądzić można.

Wielki filozof A r t u r S c h o p e n h a u e r (1788—1860) powiedział: „L i t o ś ć n a d z w i e r z ę t a m i j e s t w t a k ś c i s ł y m s t o s u n k u z d o s k o n a ł o ś c i ą s e r c a, i ż ś m i a ł o m o ż n a t w i e r d z i ć, ż e c z ł o w i e k, o b c h o d z ą c y s i ę o k r u t n i e z e z w i e r z ę c i e m, n i e m o ż e b y ć d o b r y m c z ł o w i e k i e m“. Liczne przykłady i sądowe rozprawy stwierdzają prawdziwość tych słów, bo ilu to niedorostków, lubujących się w dręczeniu zwierząt, stało się w końcu plagą i hańbą ludzkości?

Niejednokrotnie słyszeć można, że opieka nad zwierzętami — to utopia, to przesada, której popierać nie należy. „A c ó ż m n i e m o g ą o b c h o d z i ć c i e r p i e n i a z w i e r z ą t?“ — powiada ten lub ów — „t y l e j e s t p r z e c i e c i e r p i e ń l u d z k o ś c i, t y l e w a ż n i e j s z y c h z a d a ń w ż y c i u!“

Bez wątpienia współczucie dla nędzy ludzkiej jest o wiele ważniejszą sprawą, ale jedno drugiemu nie przeszkadza, ale się wspólnie dopełnia. Można hojnie wspierać biednych, obmyślać dla nich środki utrzymania, ratować moralnie i fizycznie, a w danym razie okazać należyte współczucie tej biednej rzeszy świata zwierzęcego. Czyż starania o ulżenie smutnej ich doli tak wiele nas kosztują? — czy wyczerpują nasze siły? — czy zabierają drogi nam czas? Nie. — Trochę dobrej woli, trochę o nich pamięci, trochę serca, — ot, i wszystko!

Zapatrując się zaś na sprawę ochrony zwierząt głównie ze stanowiska rolnika i gospodarza wiejskiego, dotykalne mamy dowody, że zwierzęta, zwłaszcza domowe, tworzą oprócz wygody zamożność jego, dobrobyt jego i wartość kapitału. Pomijając jednostkę, widzimy w dalszym rozwoju naszych pojęć, także dobrobyt i narodu. Słusznie więc należy się trochę wdzięczności tym biednym stworzeniom, oszczędzającym najcięższych prac i trudów człowiekowi. Jeżeli obojętność na niedolę bliźnich jest grzechem przeciwko ludzkości, niemniej ważnem przestępstwem jest okrucieństwo na zwierzętach spełniane.

O k r u c i e ń s t w e m nazywamy odmawianie zwierzęciu potrzebnej opieki zawsze, a wyjątkowej, gdy chore, oraz odmawianie mu stosownego pożywienia i schronienia. O k r u c i e ń s t w e m jest wyzyskiwanie ich sił do ostatka, — o k r u c i e ń s t w e m jest wymaganie usług bez względu na ich wiek, chorobę, wreszcie niedostatecznie udzielany pokarm. O k r u c i e ń s t w e m jest znęcanie się nad nim w chwili zabijania go.

Zaniedbanie zwierzęcia i srogie obchodzenie się ze zwierzęciem jest niemal lekceważeniem darów Bożych, a nadto zabija szlachetność uczuć i delikatność względem ludzi. Jest to objaw dzikości, której nie zdołają przyćmić ani zewnętrzne, wykwintne formy, ani też warunki bogactwa z szlachetnego rodu. Człowiek przyzwyczajony do łagodnego postępowania ze zwierzętami, potrafi być łagodnym, miłosiernym i to w daleko wyższym stopniu względem swego bliźniego, a troskliwość i piecza o biedne zwierzęta muszą tylko podniecać poczucie obowiązku dla cierpiącej ludzkości i natchnąć doskonalszem, wyższem dla niej współczuciem.

Jakiej za to często niedoli, jakiemu okrucieństwu podlega ten świat zwierzęcy,—dość użyć przechadzki po mieście Lwowie i Krakowie, wogóle po miastach i mieścinach galicyjskich, przedewszystkiem w dni targowe i jarmarkowe, — dość zwrócić wtedy uwagę na obchodzenie się z tą rzeszą zwierzęcą przy fabrykach, przy wożeniu kamieni, cegieł, wogóle materyału budowlanego, przy kopaniu i wywożeniu ziemi, brukowaniu ulic, oraz przy transportowaniu jej wozami i kolejami, a w końcu w rzeźniach.

Wieleż to tam w tych rzeźniach ciężkich i bolesnych razów znieść musi biedne zwierzę, dopóki nie wyda ostatniego tchnienia. I tutaj opieka ludzka wniosła dobroczynną już swoją działalność, usuwając — o ile to było możliwe — odpowiednimi środkami męczarnie zwierzęcia w ostatnich chwilach życia jego. Ale jest jeszcze bardzo a bardzo wiele na tej drodze do zrobienia. Kto zaś nie umie ocenić wartości tego działania, ten mało lub wcale nie ma pojęcia o ludzkości.

Cała tajemnica właściwej ochrony zwierząt polega na uznaniu ich zasług względem człowieka, oraz na umiłowaniu przyrody i wszelkiego jej stworzenia.

Człowiek dla miłości przyrody pielęgnuje kwiaty, mniej pożyteczne lubuje się ich wonią i barwnością, pieści swe roślinki, dogadza im pod każdym względem, oczyszcza je, dostarcza im wody, światła i ciepła. Dlaczego więc biedne zwierzę, które czuje, cierpi i z człowiekiem pracuje, dlaczego ono tak często jest upośledzone, zaniedbane, sponiewierane, a na domiar zamęczone?

Opieka nad zwierzętami nie sprzeciwia się bynajmniej odwiecznemu prawu odbierania życia zwierzętom, przeznaczonym człowiekowi na pokarm, — nie potępia usuwania ze świata owych wszystkich szkodników, zakradających się do jego obory, kurnika, sadu, ogrodu, lasu i pomieszkania, nie broni wcale oprawy psów i kotów niebezpiecznych dla życia i zdrowia człowieka — ale niech to wszystko odbywa się po ludzku i wśród najkrótszych i najmniej bolesnych męczarni. A stare zasłużone zwierzę, potrzebujące opieki, niech ją u-

zyska od człowieka w pełni najszlachetniejszej z cnót litości i bezinteresownego współczucia.

I czegoż to potrzeba do rozbudzenia litości, owej najszlachetniejszej cnocy serca ludzkiego? Oto niech matki zaszczepiają ją w dzieciach od najmłodszych lat. Wszakże ludzkość nic na tem nie utraci, owszem zyska, bo miłosierny dla zwierzęcia, będzie nim w dwójnasób dla człowieka.

Dziecko przychodzi na świat z instynktami złośliwości, przynosi z sobą chęć burzenia i niszczenia wszystkiego, co mu wpadnie pod rękę. A ta jego natura ujawia się w pierwszych już jego niewinnych figielkach i pieszczotach. Zanim się jeszcze usteczka złożą do uśmiechu i uścisku, to rączki zawsze są gotowe do bicia, choć go tego nikt nie nauczył. Pierwszymi zaledwie ukazującymi się ząbkami kąsa piersi karmicielki niemal ze świadomością tego, co robi, bo każde syknięcie ofiary wywołuje uśmiech i wesołość na jego twarzyczce. Jeżeli ustawisz przed dzieckiem szereg zabawek, to zamiast lubować się ich widokiem, wnet rączką przewraca wszystko i burzy; każdą zabawkę natychmiast łamie, szarpie, niszczy. Podany mu kwiatek do ostatniego oberwie pączka i listka, co wszystko prawdziwą mu sprawia radość. Psa lub bezbronne zwierzę raczej uderzy niż pogłaska, a gdy już jest starsze, objawia się w niem przedewszytkiem chęć dręczenia zwierząt, targa je za ogon, szarpie za uszy, szczypie po ciele, znienacka napada bacikiem lub kamykiem. Biega za owadami lub motylami, którym obrywa skrzydełka, które nabija żywe na szpilki lub więzi w pudełkach lub słoiczkach, około pełzającego robaczka nie przejdzie, aby go nogą lub pręcikiem nie potrącić, a wszelkie objawy bolu i cierpienia zwierzęcia sprawiają mu uciechę i nęcą jego uwagę.

Otóż takie i tym podobne skłonności należy opanowywać w zawiązku, aby z biegiem czasu nie przeistoczyły się w srogość i dzikość serca. Nietylko te przywary złośliwe z natury wykorzeniać trzeba z dziecka, ale nadto wpływać nauką i dobrym przykładem na przystępny jeszcze umysł dziecka, przedstawiając mu jak najczęściej pożytek i korzyść i przyjemności, jakie zwierzę przynosi człowiekowi.

Wytrwałość i baczna uwaga matek w tej mierze doprowadzi do pożądanego celu, zwolna obudzi się w dziecku poczucie litości i sprawiedliwości, a dorastając pozna, jak harmonijnie dopełnia przyrodę królestwo zwierząt, z których każde z porządku natury ma sobie wyznaczony właściwy cel i zadanie.

Wszelako byłbym źle zrozumianym, gdyby mnie sądzono, iż powyższem przedstawieniem rzeczy mam zamiar wzbudzić jakiś sentymentalizm, jakąś czułostkowość w sercach dzieci, w sercach młodzieży, która nad muchą od pająka schwytaną rozkwila się, a na obraz nędzy bliźniego jest obojętną. Nie, — to nie jest moją myślą, ani też myślą prawdziwego, rzetelnego obrońcy świata zwierzęcego; pragnieniem mojem było, jest i będzie, aby „człowiek, to rozumne jestestwo, od lat młodzieńczych oswajał się z prawem uczuciem, którego najpiękniejszą cechą jest miłosierdzie, ten to ludzkości najszlachetniejszy przymiot".

Do was tedy, czcigodne Panie, jako do matek zwracam się z gorącą prośbą! „Wpajajcie codziennie w dzieci łagodność i czułość! wyryjcie na ich sercach płomienistymi wyrazy, że dręczenie zwierząt jest początkiem szkaradnej tyranii; karzcie surowo tych niedojrzałych niegodziwców, którzy najświętsze słowa Boga, Zbawiciela świata, prawo miłości i litości deptać się poważają!" — Bądźcie pomne wzniosłych słów znakomitego w swoim czasie pedagoga Fryder. Froebla (1782—1852), którego zasadą wychowania było kształcenie w jednostce każdej strony ludzkiej działalności nie oddzielnie, ale w harmonijnym pomiędzy sobą związku, mianowicie słów: „Powierzcie dzieciom troskę o jakie zwierzątko, a spełnicie najważniejszy akt wychowania". — Również bądźcie pomne słów uczonego duńskiego L. Schmidta: „Nauczcie dzieci być dobremi dla zwierząt, nauczcie je uznawać prawo ich do życia, jako stworzeń boskich, a wzmocnicie przez to tesame uczucia dzieci względem bliźnich".

Niechże każdy, ile sił mu starczy, przyłoży dłoń swoją do powodzenia tego dobroczynnego dzieła, jakiem jest ochrona zwierząt. Chociaż to praca cicha i spokojna, nie rokująca głośniejszej sławy, ani zaszczytów, to przecież odpowiada bez wątpienia szlachetnym uczuciom obywatelskim i humanitarnym zasadom, które tworzą najlepszą rękojmię i otuchę na przyszłość. Dlatego też wspólnemi siłami działajmy, napominajmy, karzmy i wynagradzajmy! Biorąc zwierzę w obronę, dążmy do podniesienia ludu naszego na wyższy stopień oświaty, a tym sposobem do jego szczęścia i dobrobytu! Jeżeli w sercach ludzkich zapanuje miłość przyrody i litość nad zwierzęciem, to zakwitnie prawdziwa miłość ku Bogu i bliźnim, co najwyższym jest celem wszystkich towarzystw ochrony zwierząt.



Oskar Wilde.

SŁOWIK i RÓŻA.

BAŚŃ WIOSENNA.

— Powiedziała mi, że będzie ze mną tańczyć, jeśli przyniosę jej czerwoną różę — wołał młody student — ale we wszystkich moich ogrodach niema ani jednej czerwonej róży...

Usłyszał to słowik ze swego gniazdka na starym dębie i spojrzał przez liście pełen zdziwienia.

— Ani jednej czerwonej róży we wszystkich moich ogrodach! — wołał i łzami zaszły mu śliczne oczy. — O! Od jakich drobnostek zależy szczęście! Przeczytałem wszystko, co napisały mędrce i zgłębiłem wszystkie tajniki filozofii — i oto z powodu jednej czerwony róży muszę być nieszczęśliwym.

— To chyba prawdziwa miłość — pomyślał słowik. — Noc po nocy śpiewałem o nim i nie znałem go. Noc po nocy opowiadałem gniazdom jego dzieje i oto widzę go teraz. Włosy ma ciemne, jak pąk hyacyntu, usta ma kraśne, jak ta róża, której pragnie; tylko namiętność przyoblekła twarz jego bladością, a smutek wyrył swe piętno na jego czole.

— Książę wydaje bal jutrzejszej nocy — szeptał młody student — i moja ubóstwiona tam będzie na nim. Jeśli przyniosę jej czerwoną różę, będzie ze mną tańczyć do świtu. Jeśli przyniosę jej czerwoną różę, będą ją trzymał w objęciach i ona skłoni swą główkę na moje ramię i ręka jej uściśnie moją... Ale ponieważ niema ani jednej czerwonej róży w moich ogrodach, więc będę sam siedział, a ona przejdzie koło mnie obojętnie. Nie pomyśli nawet o mnie, a moje serce pęknie z żalu.

— To jest istotnie szczera miłość — myślał słowik — to, o czem ja śpiewam, on cierpi, moja więc rozkosz jest jego boleścią. Zaprawdę miłość jest dziwną rzeczą. Jest ona kosztowniejszą od szmaragdów i droższą, niż szlachetne opale. Perłami i granatami nie płaci się za nią i na rynku znaleźć jej nie można. Handlarze nie mogą jej sprzedawać, ani wagą złota mierzy się jej wartość.

— Orkiestra zasiądzie na galeryi — mówił student do siebie — i uderzy w instrumenty, a moja ukochana tańczyć będzie przy dźwięku harf i skrzypiec. Będzie tańczyć tak lekko, że nóżki jej nie dotkną się ziemi, a wielbiciele jej tłoczyć się będą koło niej. Ale ze mną nie będzie tańczyć, bo nie mam dla niej czerwonej róży. I upadł na trawę, ukrył twarz w dłonie i płakał.

— Dlaczego on płacze? — pytała maleńka zielona jaszczureczka, sunąc ku niemu z podniesionym ogonkiem.

— Dlaczego? — szepnęła cichym słodkim głosikiem stokrótka do swojej sąsiadki.

— On płacze z powodu jednej czerwonej róży — rzekł słowik.

— Z powodu czerwonej róży? — zawołały. — Jakie to śmieszne! I mała jaszczureczka, złośliwa nieco od natury, zaśmiała się szyderczo.

Ale słowik pojął tajemnicę smutku studenta i siadłszy w milczeniu na dębie, począł dumać o świętych misteryach miłości.

Po chwili rozwinął swe szare skrzydełka do lotu i, uniósłszy się w górę, pofrunął do ogrodu, sunąc jak cień między drzewami.

Na środku trawnika rósł piękny krzak róży. Ujrzawszy go, słowik przyfrunął i siadł na jego gałązce.

— Daj mi czerwoną różę — zawołał — a zaśpiewam ci najpiękniejszą z moich piosenek.

Ale krzak róży potrząsnął głową.

— Moje róże są białe — odpowiedział — tak białe, jak piana morska, a bielsze niż śnieg w górach. Ale idź do mojej siostry, która rośnie obok słonecznego zegara, to może da ci, czego żądasz.

Pofrunął słowik do krzaka róży, rosnącego obok zegara.

— Daj mi czerwoną różę, a zaśpiewam ci najpiękniejszą z moich piosnek.

Ale krzak potrząsnął głową.

— Moje róże są żółte — odpowiedział — tak żółte, jak włosy syren, siedzących na bursztynowym tronie, więcej żółte, niż narcyz, rosnący na niwie, nim przyjdzie kosiarz ze swoją kosą. Ale idź do mej siostry, która rośnie pod oknem studenta, a da ci może, czego pragniesz.

I pofrunął słowik do róży, która rosła pod oknem studenta:

— Daj mi czerwoną różę — prosił, a zaśpiewam ci najpiękniejszą z moich piosnek.

Ale krzak potrząsnął głową.

— Moje róże są czerwone — odpowiedział, tak czerwone, jak nóżki gołębia, a czerwieńsze od łodyg korala, kołyszących się w głębi oceanu. Ale zima zmroziła moje żyły, mróz zniszczył moje pączki, a burza połamała gałązki, żadna więc róża nie zakwitnie na mnie w tym roku.

— Jedną jedyną różę chciałbym dostać — zawołał słowik. — Czyż nie ma na to żadnego sposobu?

— O, jest — odpowiedziało drzewo — ale tak straszny, że nie śmiem ci go powiedzieć.

— Powiedz — prosił słowik — ja się nie lękam.

— Jeżeli chcesz mieć czerwoną różę, to musisz ją utworzyć z dźwięków w noc księżycową i ubarwić krwią własnego serca. Dla tego musisz mnie śpiewać, przycisnąwszy pierś swoją do jednego z mych cierni. Przez całą noc musisz mi śpiewać, a cierń musi przebić twe serce, a krew twego serca musi wejść w moje żyły i stać się moją.

— Śmierć jest wielką ceną za jedną czerwoną różę — zawołał słowik — a wszak życie jest droższe od wszystkiego. Wszak pięknie jest siedzieć w zielonym gaju i patrzeć to na słońce w jego złotym rydwanie, to na księżyc w perłowej kolasie. Wszak czarownym jest zapach ciernia, czarownemi dzwonki ukryte w dolinie, i macierzanka, kwitnąca na wzgórzu. Ale miłość jest droższą od życia, czemże jest serce ptaka wobec serca człowieka?

I słowik rozpostarł szare skrzydełka do lotu, uniósł się w górę i pofrunął do ogrodu, mknąc jak cień pomiędzy drzewami.

Młody student jeszcze leżał na trawie, gdzie go słowik pozostawił, i łzy jeszcze nie obeschły w jego ślicznych oczach.

— Bądź spokojny! — zawołał słowik — będziesz miał upragnioną różę. Utworzę ją z dźwięków przy blasku księżyca i ubarwię krwią własnego serca. A za całą podziękę nie żądam nic od ciebie, jak tylko: bądź wiernym twojej miłości! Bo miłość jest mądrzejszą od mądrej filozofii i silniejszą od najsilniejszej potęgi! Ma ona skrzydła ogniste i z płomienia łono, usta słodkie jak miód, a oddech wonny jak kadzidło.

Student podniósł głowę, ale nie mógł pojąć słów słowika, bo znał tylko rzeczy, o których piszą księgi.

Zrozumiał je natomiast dąb stary i posmutniał, bo kochał słowika, który miał gniazdko wśród jego konarów!

— Zaśpiewaj mi ostatnią piosnkę! — zaszumiał — będzie mi bardzo nudno, gdy odlecisz.

I słowik zaśpiewał piosnkę dębowi, a głosik jego był jak plusk wody, płynącej ze srebrnego dzbana.

Gdy piosnka umilkła, student podniósł się z murawy i zwrócił kroki ku domowi, szepcąc do siebie:

— Słowik umie śpiewać; nikt mu tego nie zaprzeczy. Ale — czy umie równie — czuć? Sądzę, że — nie. W gruncie rzeczy jest zapewne za wiele — artystą — i nie poświęciłby się za innych. Myśli tylko o śpiewie, wszak wiadomo, iż wszelki artyzm jest — samolubstwem. Przyznać mu jednak trzeba, że ma kilka prześlicznych tonów w swoim głosie. Jaka szkoda, że one nic nie znaczą i nie mają żadnej praktycznej wartości.

I wszedł do swego pokoju, położył się na małe ubogie łóżko i zaczął dumać nad swoją miłością... Po chwili — zasnął.

A gdy księżyc wszedł na niebo, przyfrunął słowik do krzaka róży i przycisnął piersi do jednego z jej cierni. I śpiewał przez noc całą i krwawił swe piersi, a chłodny krzyształowy księżyc spoglądał z góry i słuchał. Przez całą noc śpiewał, a cierń coraz głębiej wpijał się w jego piersi i krew serdeczna spływała.

Najpierw śpiewał o narodzinach miłości w sercu chłopca i dziewczyny. I na najwyższej gałązce krzewu wykwitła czarująca różyczka, listek za listkiem, jak piosnka za piosnką. Z początku była blada jak mgła, wisząca nad brzegami, blada jak stopy poranku, a srebrna jak skrzydła jutrzenki. Była jak cień róży w srebrnym zwierciadle, jak cień róży w wodzie stawu ..

A krzak wołał do słowika: „Przyciśnij się mocniej, mały słowiczku, bo inaczej — dzień zaświta, a róża nie będzie skończona“.

I przycisnął się słowik mocniej do ciernia, i głośniej, coraz głośniej brzmiała jego piosnka, bo śpiewał o narodzinach namiętności w sercu mężczyzny i kobiety.

I delikatny powiew różowy owiewał listki róży, niby rumieniec oblubieńca, gdy całuje usta oblubienicy. Ale ostrze ciernia nie dosięgło jeszcze serca ptaszyny, więc i serce róży pozostało bladem, bo tylko krew z samego serca słowiczego może zarumienić serce róży.

A krzak wołał do słowika: „Przyciśnij się mocniej, mały słowiczku, bo inaczej — dzień zaświta, a róża nie będzie gotowa“.

I słowik przyciskał się mocniej do ciernia, a cierń wpił się w serce, a serce to przemknął straszny ból. Gorżki, gorżki był ten ból, i coraz dzikszy i dzikszy był śpiew słowika, bo śpiewał o miłości, która śmierć sprowadza, o miłości, która w grobie nie umiera...

A czarująca róża stawała się czerwoną, jak róża wschodu; czerwonym był wianek listków i krwawe jak rubin serce kwiatu.

A głos słowika stawał się słabszym, a małe skrzydełka poczęły zwisać i mgła przysłaniać oczęta... Śpiew wolniał i wolniał, a mały gardziołek coś dławiło.

Potem jeszcze jeden ostatni krzyk tonów!... Usłyszał go księżyc i zapomniawszy o jutrzence, zawisł w powietrzu. Usłyszała go czerwona róża i zadrżawszy z zachwytu, otworzyła swój kielich w chłodnem powietrzu poranka. Poniosło go echo do swych purpurowych pieczar skalnych i obudziło drzemiących śpiochów po szczelinach, a podając go dalej i dalej, zaniosło go aż na brzeg szumiącego morza.

— Patrz! patrz! — zawołał krzak do słowika — róża jest gotowa! Ale słowik nic nie odpowiedział, bo leżał martwy w wysokiej trawie, z ostrzem ciernia w sercu...

W południe otworzył student okno i wyjrzał na ogród.

— O! Co za dziwne szczęście! — zawołał — tu, oto, kwitnie czerwona róża. Nigdy w życiu nie widziałem podobnej! Jest tak piękna, że musi mieć łacińską nazwę!

Nachylił się i zerwał różę.

Następnie włożył kapelusz i poleciał z różą w ręku do domu profesora.

Córka profesora siedziała na ganku haftując robótkę; mały piesek leżał u jej nóg.

— Powiedziałaś, że będziesz ze mną tańczyć, jeśli przyniosę ci czerwoną różę — rzekł student na powitanie — oto masz ją — najczerwieńszą ze wszystkich róż świata. Gdy mieć ją będziesz na twojem sercu i gdy będziemy tańczyć ze sobą, opowiem ci, jak kocham cię gorąco!

Ale dziewczyna zmarszczyła czoło.

— Przykro mi bardzo, że nie pasuje do mego ubrania — odpowiedziała. A prócz tego, siostrzeniec księcia przysłał mi prawdziwe klejnoty, no, wszak każdy wie, że klejnoty więcej są warte od kwiatów.

— Jesteś bardzo niewdzięczna! — zawołał student gniewnie i rzucił różę na ulicę, gdzie wpadła w kałużę i zmiażdżyły ją koła przejeżdżającej karety.

— Niewdzięczna? — rzekła dziewczyna tonem wyniosłym. — A ty, niegrzeczny! Wreszcie — czem ty jesteś? Zaledwie — studentem! Nie wiem nawet, czy masz takie same srebrne sprzączki u butów, jak siostrzeniec księcia?!

To rzekłszy, wstała z krzesła i znikła w drzwiach mieszkania.

— Jaka to czcza rzecz ta miłość! — myślał student, odchodząc. — W połowie nawet nie jest tak pożyteczną, jak logika, gdyż nic nie dowodzi, zawsze coś obiecuje, co nie nastąpi i każe wierzyć w rzeczy, które nie są prawdą. W gruncie rzeczy jest zupełnie niepraktyczną, a ponieważ jestem w wieku, gdzie trzeba być praktycznym we wszystkiem, więc wolę powrócić do mojej filozofii i studyować metafizykę.

Przyszedł do domu, otworzył wielką suchą księgę i zaczął czytać.



K. Laskowski.

Góry.

Góry! wy uwielbiane! wysławiane góry!
Godzące zimnym szczytem w błyszcz słonecznej [główni —
Olbrzymie cmentarzyska kurhanów natury -
Patrzę na was, podziwiam i... tęsknię do równi!
Tęsknię do moich dolin! za niw zbożnych falą..
Myśl smutna od śnieżystych ucieka robronów,
Do utkanych kłosami serce rwie zagonów —
Gdzie usta bardziej syte—mniej się doli żalą!
Smutno mi wśród was, góry! Po jałowych zrębach
Wiatr halny strzępi smętkiem kosodrzewiu gaje,
Żałosne echa toną w chmur zwieszonych kłębach,
Kaskadą łez wzbierają podgórskie ruczaje!
Wszystko jęczy... łka... płacze... z oddali i zbliska..
Nagie skały weselu zagrodziły drogę...
Góry wy uwielbiane! martwe cmentarzyska!
Patrzę na was, podziwiam... lecz kochać nie mogę!
I gdybym mógł! bez żalu strąciłbym z przezroczy
Wasz grzbiet twardy i zmiażdżył na wstęgi niw [płodne —
Dumne czoła okolił w splot skibnych warkoczy!
I chleb posiał dla biedy! karmił usta głodne!
Niechby mi wicher nie łkał po żywicznej głuszy!
Niechby drzewa i skały zaprzestały szlochać!
Niechby słońce...
Ja słońca nie umiałbym kochać
Jeśli patrzy w łzy ludzkie, a łez nie osuszy.



J. Bandrowski.

Z literatury niemieckiej.

(„Schluck und Jau“ — Hauptmanna)

Komuż dziś obcy Hauptmann? Kto nie płakał nad dolą biednej „Hanusi“, samotnej jak dzika różyczka, strojnej tylko w brylanty łez własnych? Czyjeż serce nie zabiło żywiej, dotknięte czarodziejską różdżką złotowłosej Rusałki? Kto nie współczuł nad dolą „Samotnych“, „Kolegi Cramptona“, „Woźnicy Henszla“?

Hauptman, jako poeta realista, dotykający najgłębszych zagadnień bytu ludzkiego, nie zna przeszkód dla bujnej swej wyobraźni. Z równą swobodą i polotem buja umysł ten po halach górskich, ucztuje przy źródliskach, mchami porosłych, wczytuje się w ogniste runy na chmurnem niebie, wsłuchuje w poświsty wichrów nocnych. Goni za nimi po skałach i turniach orla myśl poety, zanurza się cała w głębiny wrażeń i uczuć, zasłuchana w dziwy przyrody, w odgłosy tanecznych zabaw rusałek, w melodye strumyków, modlitwy borów, uśmiechy i niepokoje dzwonków pól i trzód, zapatrzona w Thora z ognistą brodą i żelaznym młotem, parskającego ulewą i gradem.

I opuszcza znowu kolejno te bogactwa dziwów, schodząc do niezamożnej izby woźnicy; bada nieszczęście i przeznaczenie człowieka, który sam sobie katem — lub też znajdzie się kat inny dla Hanusi. Kwitła bo ta dzika różyczka pod murem cmentarnym słaba, delikatna! Czemuż nie w pięknym ogrodzie lub doniczce, gdzieby ją hodowano? Nie wszystkim pisano żyć na świecie! Osty nie więdną, ale kwitną, chwieją się razem z wiatrem i kolą tak, jak on smaga. Więc żyją. Ostem trzeba się było różyczce narodzić, ostem. Bo samotnym można się czuć w gronie tych, którzy nas oszukują, krzywdzą i hańbią, jak i wśród kochających, a kochanych. A najtrudniej człowiekowi żyć bez duszy. To słońce życia!

„Dokądże więc dążysz, szalony człowieku! O słońcu mówisz, a nigdyś go nie widział! Dźwiękiem dzwonów płoszysz górskie elfy i rusałki, a im wyżej się wzbijasz, tem niżej upadasz! Coś zacz?! Przez pół nasz brat, a przez pół do kogo należysz?“ — woła „Wodnik“

W sferę takich pytać i zagadnień wprowadza nas Hauptmann, zbliżając się w dramatach do ideałów Ibsena i Jacobsena, w czem cechuje go nawet podobieństwo wywoływania nastrojów. Nadto niepospolity talent ten nabiera coraz więcej pokrewieństwa z Shakespearem. Obaj wielcy myśliciele, obaj poeci-realiści widzą piękno nie w stosunkach wymarzonych, idealnych, lecz w tych, w których się obracają. Różnica chyba ta, że Shakespeare był pierwszym poetą-realistą, a Hauptmann jednym z wielu. Postacie niektóre z „Dzwonu zatopionego“, a także z „Hanusi“ noszą już na sobie znamiona twórczości szekspirowskiej, jak Kozodój, balwierz, nauczyciel, a także postacie żebrackie z „Hanusi“, w co wchodzi zarazem siła przeciwstawienia kontrastów.

Z takiem wyobrażeniem o Hauptmannie przeczytałem najnowszy jego utwór. Przeczytałem i zdziwiony patrzę na kartę tytułową, czem się przypadkiem nie pomylił. Widzę jednak całkiem wyraźnie: „Schluck und Jau, Spiel zu Scherz u. Schimpf, mit 5 Unterbrechungen von Gerhard Hauptmann.“ No, no! A więc:



KOLEGIATA W KALISZU.

Było sobie dwóch wagabundów, przyjaciół doli i niedoli. Jau starszy, żonaty, ojciec siedmiorga dzieci i młodszy od niego Schluck, także żonaty. Wracając z karczmy pijani, zeszli z gościńca i znaleźli się przed bramą parku zamkowego księcia Jana Randa, ckliwego kochanka pięknej Sidselilli. Szlachetny ten pan, wracając właśnie z wesołą drużyną z polowania, z oburzeniem spostrzega włóczęgów i daje rozkaz uwięzienia ich. Napróżno chce temu przeszkodzić przyjaciel księcia, Karol, radząc mu, aby dla odmiany nużących bo gdankę westchnień miłośnych urządził dla niej z tych pijaków wesołą krotochwilę. Rand jednak ani myśli słuchać. Wzięto już Schluka, a gdy w tem zbliża się piękna Sidselill w orszaku dam, korzysta z chwili Karol i każe drugiego pijaka Jaua, powalonego na ziemię w śnie głębokim, przenieść do zamku. („Pan Jowialski“ Fredry).

Na drugi dzień (akt II.) późno budzi się wytrzeźwiony Jau w książęcem łożu, z koroną na głowie, otoczony rojem służby, która wraz z Randem, jako lekarzem niby nadwornym wmawia w osłupiałego, że jest księciem, stroi go kosztownie, poi jedzie na polowanie, sadza go potem przy uczcie, a wyrywające się z ust pijaka rubaszne wspomnienia z wczorajszej jeszcze przeszłości tłomaczy mu długoletnim, dziedzicznym w jego rodzinie obłędem; właśnie dziś z niego wyzdrowiał ku radości państwa swego i dworu. Jau w końcu przekonany, folguje świeżo poczutej fantazyi księcia, poluje, bawi się ucztuje wśród tańców i śpiewów rozochoconego dworu. Podczas uczty przedstawiają mu jako jego żonę, przebranego za kobietę Schlucka. Temu Jau nie chce dać wiary. Bawi to cały fraucymer, śmieje się on do rozpuku a z nim i piękna Sidselill, zapomniawszy na chwilę o swej smętnej miłości. Jednak stary pijak poznaje Schlucka mimo jego przebrania, a przerażony tą marą ze swej prawdziwej przeszłości czy obłędu chorobliwego, rzuca się na Schlucka gwałtownie. Przy pomocy dworzan Schluck ucieka, jednak traci odtąd swobodę, wypada z równowagi, zaczyna szaleć i rządzić despotycznie, posyła bez żenady po wódkę, poczem pije szumpana, aż pod wpływem proszku w winie mu podanego usypia

Nic się dotąd nie stało i nic w akcie ostatnim, zaczynającym się tem, że złożonego w rowie na dawnem miejscu przed bramą zamkową śpiącego Jana budzi i trzeźwi starym zwyczajem przyjaciel Schluck, uradowany, że znowu zaczęło się dawne życie. Rozmarzony trunkiem, wpółsenny Jan, śnił w rowie zapewne o swem księstwie, bo ciągle o nim gada. Dobry Schluck nie chce go wytrzeźwić od razu. Po co! Zastąpi go w tem odgłos rogów myśliwskiej drużyny, wyjeżdżającej właśnie bramą z Randem na czele. „Jakto, więc nie zemną, który wczoraj z tą samą drużyną, z tą samą sforą psów?“... Na nowo mąci mu się umysł, buntuje się w nim wczorajszy fanton książęcy, więc podnosi się z rowu, prostuje... Nadaremnie. Kiesa jałmużny rzucona mu przez przejeżdżającego Karola zgina go do tego rowu szarej prawdy i nędzy jego życia. Schlukowi rzucił jałmużnę książę Rand...

Przejechała drużyna, przebrzmiały echa rogów myśliwskich, wiatr trzęsie suchymi konarami drzew, na ziemię osuwają się kołując w powietrzu czerwono-żółte liście, wyzłacane drżącem, jakby z za łez współczucia czy litości, patrzącem słońcem! Cisza.

Przerywa ją końcowym słowem Jan, mówiąc: „Kumm, Briederla, kumm. Mir gehn lieber ins Wirtshaus. Da will ich dir ane Fahrt erzählen...“ I oto cała treść.

Sztukę poprzedza prolog. Wpowadził go pierwszy Shakespeare („Hamlet,“ „Sen nocy letniej“, „Poskromienie złośnicy“), tak, że charakteryzuje on ówczesne sztuki. Cały utwór trzymany jest w tonie szekspirowskim tak co do formy, wyrażeń, zwrotów, jak i efektów komicznych. Pisany jest również używanym przez Shakespeare'a pięciostopowym wierszem jambicznym, a tylko Schluck i Jau, których słowa nie nadają się do poetycznego obrobienia, mówią prozą. Ktoby nie wiedział, że autorem tej komedyi jest Hauptmann, myślałby, że ma przed sobą poroniony płód twórczości Shakespeare'a. Mówię: poroniony, bo Hauptman swej komedyi do szekspirowskiej dosiągnąć nie potrafił. Temat nawet całkowicie wziął z szekspirowskiego prologu do „Poskromienia złośnicy“, który złożony jest z dwu scen (przytaczam je dla porównania): W pierwszej — Schlau, nałogowy pijak kłóci się z szynkarką, poczem zasypia na ziemi. Nadjeżdżający z polowania dziedzic spostrzega pijaka i każe go przenieść do zamku w celu urządzenia zabawy, a spotkawszy po drodze wędrownych aktorów, prosi ich do udziału. W scenie drugiej również analogicznie, jak u Hauptmanna, Schlau budzi się w sypialni zamkowej, zdziwiony patrzy na nadskakującą służbę, która opowiada mu o długoletniej jego chorobie i przykrych towarzyszących jej snach: o kłótni z kucharką, z konstablem i t. d. Schlau daje się przekonać, a wtedy przyprowadzają do niego pazia w przebraniu kobiecem, jako jego żonę. W końcu prowadzą wystrojonego na przedstawienie, któremu przypatruje się Schlau z arcyko miczną powagą.

Prolog ten wydał się Hauptmanowi doskonałym tematem do komedyi. Więc go użył bez ceremonii, przyczem postać Schlaua rozdwoił na Schlucka i Jaua, tej samej operacyi dokonał odważnie na postaci dziedzica, robiąc z niego księcia Randa i przyjaciela Karola. Rolę przebranego za kobietę pazia oddał Schluckowi, pierwszą scenę rozciągnął na cały akt, z drugiej zrobił następne dwa akty i tak przez rozcięczenie kieliszka wytrawnego tokaju sporą ilością wody, zrobił się miły wpra-wdzie — ale kwasek dla ochłody. Wskutek tego Schlau, główny typ pijaka, który u Shakespeare'a bawi nas istotnie swym komizmem i przedstawia pijaństwo ze strony śmiesznej — wywołuje w postaci Jana u Hauptmanna przykre wprost uczucie; bo nawet w ustach pijanego wstrętem przejmuje takie np. wyrażenie:

„Schnaps will ich han! (haben) — und wenn ich mein Haüsla versaufa soll! — und wenn ich mein Weib versaufa soll! — und wenn ich meine sieba Kinder versaufa soll!“.

Zapewne tak samo woła gdzieś i szekspirowski Schlau, możemy się tego domyśleć — ale nie musimy słuchać. Jest to może naturalne, nie przeczę, lecz ileż to jeszcze jest rzeczy naturalnych, o których się przecież ni w sztuce, ni na scenie nie mówi.

Również w drugiej scenie Schlau jest niesłychanie komiczny, ale Shakespeare nie pozwala mu wiele mówić, aby nie przeciągnąć struny. Jak długo też Hauptmann trzyma się tego wzoru genialnego, tak długo postać Jaua bawi — poczem niestety, staje się nużącą i tak przykre wrażenie, że aż uczuwamy o Jaua obawę, aby nie zwaryował.

Za to Schluck Hauptmana jest postacią bardzo oryginalną i dobrze, głębiej pomyślaną. Pijak, próżniak, leń, ale jakiś kawałek artysty o dobrem sercu. Ptak to niebieski. Choć obarczony rodziną, nie robi nic. Wykrawa tylko z papieru sylwetki profilów ludzkich i tak żyje, a raczej pije kosztem płacących mu za ten kunszt ludzi.

Kiedy go pyta starsza pani zamku, Frau Adeluz, czy już jest po śniadaniu, odpowiada:

„Gestern hab' ich gefrüstückt, meine Dame“.

Adeluz: „Und möchtest du so häut nicht wieder thun?

Schluck: „Es kommt, wei's kommt. Das nehm ich nich so genau in der Welt. Und sehn sie, wen ich zu schnitzeln anfange, da vergess ich manchmal Speise und Trank. Da hat mir kein Mensch gelernt, das hab' ich vom lieben Gott, meine Dame!“.

W dalszej przeróbce rozdwoił Hauptmann i postać szekspirowskiego dziedzica na księcia Jona Randa, ckliwo-romantycznego kochanka pięknej Sidselilli, który wzdycha tylko i marzy — i na typ piękny Karola, wesołego towarzysza, o pogodnej duszy, żądnej wesela, zabawy i gardzącej mieniem. To też kiedy go książę chce obdować baronią, tak odpowiada:

'ne Baronie? 'ne Kette um den Fuss?
Besitz ist Last—trag du die Last, Kamerad.
Hab hundert Schlösser, so wirst du bald ein
Gast in allen sein, so gut wie ich
Der keines hat. Je weniger
Du hast, je mehr ist's dir zu eigen Jon.

Całość utworu robi mimo wszystko wrażenie dodatnie; forma i język prześliczne i dobrze do wyrażeń Shakespeare'a zastosowane. Niektóre obrazy są bardzo piękne, choć nie brak scen, wywierających wrażenie wprost przeciwne intencyi autora. Prześliczny jest np. początek piątej odsłony; dalszy jej ciąg sprawia już przykre wrażenie.

Różnica między obydwoma utworami przebija się w stylu: Shakespeare skłania się do baroku, Hauptmann zachował swój utwór w najczystszym rokoko. W każdym razie utwór to bardzo interesujący i najzupełniej sceniczny.



Janusz.

Ostatni list.

FRAGMENT.

Z włosami rozwianymi, z błędnem chorobliwem wejrzeniem, w żakiecie krzywo na chude plecy narzuconym, parta jakąś wewnętrzną siłą dopadła do drzwi mieszkania.

Były otwarte. Rzuciła się w nie i stanęła na chwilę, wstrzymana ponurą ciemnicą przedpokoju. W mroku majaczył cień jakiś. Zdławione jej gardło przez chwilę nie pozwalało na wydobycie żadnego dźwięku.

— Pan Roman? — zapytała wreszcie głosem beznadziejnej rozpaczy i przygnębienia.

Cień nie odpowiadał. Ręką tylko wskazał drzwi po prawej stronie. Ruch tej ręki wystarczył.

Drząc całem ciałem chwiejnie zwróciła się we wskazanym kierunku. Klamka zgrzytnęła i drzwi się rozwarły; kobieta stanęła jak piorun rażona.

Na kozetce leżał trup dwudziestokilkoletniego mężczyzny. Plecy tylko i głowa dotykały kozetki, reszta ciała bezwładnie zwisła na podłogę. Prawa ręka zaciśnięta trzymała kurczowo rewolwer. Na skroni widniał nie wielki otwór; kilkanaście kropel krwi cienką smugą zabarwiły brudnoczerwonym kolorem policzek. Z nozdrzy jeszcze uchodziła krew kroplami. Trup leżał z oczyma nawpół rozwartemi, z wyrazem szyderstwa na wązkich ustach i bezmyślnie patrzył na zdrętwiałą kobietę.

Pierś jej szybko falowała; szeroko rozwarte jej źrenice, uderzone nieznanym widokiem, wskazywały, że w pierwszej chwili nie zdawała sobie sprawy z tego, co widziała. Wreszcie z piersi dobyło się ciche łkanie. Płacz ten przechodził całą gamę, aż do wybuchu jęku. Nogi kobiety zaczęły drzeć. Rzuciła się na ciało.

— Romanie! to być niemoże! Romanie dlaczego!?... dlaczego!?...

Płacz przechodził w rozpaczliwe, konwulsyjne drganie głosu; chwilami z piersi dobywało się coś na kształt dzikiego śmiechu, śmiechu szaleńców i histeryków.

Drżące usta wyrzucały bezładne wyrazy. Dlaczego? Dlaczego?

Przez drzwi otwarte z przedpokoju wszedł teraz mężczyzna w średnim wieku i stanąwszy przed kobietą zapytał.

— Pani jest matką zmarłego?

Nie słyszała.

— Dlaczego? Romanie! synu! dlaczego?!

Przybyły poszedłszy do biurka, wziął list, leżący na suknie i podał go kobiecie.

Teraz dopiero oprzytomniawszy nieco, pochwyciła papier, na którym skreślono następujące słowa:

„Długo pisać nie będę. Zmęczony jestem, spieszno mi do śmierci. Będziesz pytać, biedna matko, dlaczego odbieram sobie życie. Ot, gdybym ja to sam wiedział. Przegrałem w czoraj 30000 rb. w klubie. Cała zgraja znajomych z pewną miną będzie twierdzić, że przegrana podała mi rewolwer do ręki. Nie! głupcy, nie wiedzą, ze niema przyczyny, któraby sama jedna zmusiła człowieka do pozbawienia się życia. Na to potrzeba całego aglomeratu przyczyn, całego piekła wrażeń, całej gamy uczuć, aż do tęsknoty za śmiercią. Po co mam żyć wreszcie? Czuje wstręt do wszystkiego, gardzę wszystkiem, i w nic nie wierzę, w nic absolutnie. Kazano mi żyć — żyłem jak umiałem i jak mię nauczono, może głupio, ale nie umiałem inaczej. Teraz myślę tylko o tem, jakiego uczucia doznam, gdy nacisnę cyngiel, kula roztrzaska skroń i zburzywszy mózg, sprowadzi tak zwaną śmierć. Śmierć? Nie ręczę, czy za godzinę nie będę myślał o swojej dokonanej śmierci, jak teraz o zamierzonej. Przecuwam twą rozpacz. Żegnam cię, matko, spieszno mi... Przebacz mi, jak ja ci przebaczam, żeś mi życie dała!“

* * *

Mdłe światło księżyca rzuca skąpe, fałszywe blaski na krzyże i kamienie cmentarne.

Dokoła panuje cisza.

Na drodze prowadzącej z miasta, pokazała się postać kobiety. Szła szybko z gorączką w oczach, stąpając jednak chwiejnie po nierównej drodze. Ujrzawszy krzyże, przystanęła i w tej chwili głos zbolały przewał nocną ciszę:

— Romanie! Romanie! Tyś nie umarł! Pochowano cię, lecz ty żyjesz przecie!

Synu przemów do matki. Wyjdź i przemów bo oszaleję...

Głos przechodził w jakiś krzyk zmatowany, zdawało się, że nie z gardła wychodził, a wprost z serca. Nikt się nie odzywał. Kobieta rzuciła się pod mur cmentarny i łkała cicho. Tarzała się w konwulsyach rozpaczy.

I na przemian w tej pustce i ciszy rozlegał się to płacz głośny, to ciche łkanie.

W oddali psy tylko naszczekiwały.

* * *

Świtać zaczęło Od strony bramy cmentarnej dały się słyszeć głosy dwóch stróżów miejscowych.

— Znów się przedostała przez wyłom w murze — mówił jeden. Trza ją odprowadzić do domu.

— Djabli nadali obłąkaną, — odparł jego towarzysz — czek nawet nocy spokojnej niema.



Nowości literackie.

John Ruskin. **O skarbach królewskich.** Spolszczyła hr. Marya Walewska.

Do szeregu licznych przekładów z Ruskin'a, które okazały się w ciągu ostatniego roku na półkach księgarskich, przybyła świeżo rzecz „O skarbach królewskich“ w tłómaczeniu hr. Walewskiej.

„Skarby królewskie“ ukrywają się w książkach, autor poucza tedy, jak je ztamtąd wydobyć i jak je sobie przyswoić. Przewodnią myślą Ruskin'a jest tu szeroko pojęta sprawa oświaty ludowej, a postulatem, który stawia — stworzenie w każdem większem mieście księgozbioru dla młodzieży i dla ludzi obojej płci każdego wieku, pragnących się kształcić. Te księgozbiory, oczywiście bezpłatne i dostępne dla wszystkich, posiadać winny księgi „i ś c i e k r ó l e w s k i e“, wybrane i wydane starannie do użytku publicznego. Druk ich powinien być wyraźny i piękny, papier dobry, oprawa lekka, wygodna i ładna. Otwarte od rana do wieczora, księgozbiory stałyby się krynicą ożywczą dla każdego, kto po pracy lub przed zajęciem obowiązkowem, pragnąłby chwili skupienia w duchu i odpoczynku.

Szlachetna myśl ta wyrażona została, jak zwykle u Ruskin'a, w formie powabnej, wytwornej i bogatej w porównania z rozmaitych dziedzin życia.

Tłómaczka z zadania wywiązała się dobrze, w niektórych miejscach zbyt niewolniczo tylko trzymając się stylu angielskiego, który niezawsze godzi się z wymaganiami stylistyki polskiej.

*

Ks. Władysław Michał Dębicki. **Studya i szkice religijno-filozoficzne.** Biblioteka dzieł chrześciańskich.

Jest to książka zajmująca z dwóch względów. Po pierwsze — dotyka kwestyi żywotnych i będących na dobie, po drugie — rozpatruje te kwestye ze stanowiska religijnego, tj. wprowadza do rozumowania pierwiastek przez pisarzów dzisiejszych i wogóle przez ludzi współczesnych mało uwzględniany.

Ostatnia ucieczka przecywilizowanych umysłów i dusz rozdartych wątpieniem — szerzący się na zachodzie Buddhyzm — spotkał się u autora z ostrą krytyką w pierwszem zaraz studyum.

Fr. Nietzsche i jego wpływ na młodsze pokolenie, nietylko w Niemczech, ale już i u nas zaznaczający się powoli, kazały ks. Dębickiemu zabrać głos i w tej sprawie i określić istotę „waryacko-zbójeckiej filozofii“ Zarathustry.

Te dwie prace stanowią najważniejszą część książki. Spokój poważnego i wytrawnego sądu mącą w nich jednak zgrzyty wycieczek polemicznych. Objektywizm zupełny i dobra argumentacya byłyby niewątpliwie bronią skuteczniejszą.

Pozostałą część książki wypełniły równie ciekawe, ale i te same cechy posiadające rozprawy: „Zola i Woltair“, „Rozkład wewnętrzny protestantyzmu w Niemczech nowoczesnych“, „Stygnaty i hypnotyzm z powodu faktów w Kergaer“, „Nawrócenie Franciszka Coppée“ (z dołączeniem kilku udatnych przykładów, kilku nowel z rozgłośnego cyklu „*La bonne Souffrance*“), wreszcie ocena krytyczna powieści T. J. Choińskiego „Tyara i Korona“.

Ruch naukowy.

Obserwatoryum szkoły politechnicznej we Lwowie prosi każdego ktoby jakiekolwiek miał wiadomości, dotyczące trzęsień ziemi w Polsce w czasach dawniejszych, a przedewszystkiem wiadomości takie z r. 1000, 1016, 1200, 1257, 1303, 1348, 1358, 1680, 1785 i 1786, aby zechciał o tem obserwatoryum zakomunikować. Jednocześnie poszukuje obserwatoryum książki Trzcieńskiego „Dyssertacya o trzęsieniu ziemi. Kraków, 1787“.

* * *

Dziewiąty zjazd chirurgów polskich odbędzie się w Krakowie w początku drugiej połowy lipca b. r., w klinice chirurgicznej. Prof. Rydyger ogłasza w sprawie tej w krakowskim „Przeglądzie lekarskim“: „Nie oznaczając jeszcze ścisłego terminu otwarcia zjazdu, zapraszam niniejszem do licznego uczestnictwa i do licznych zgłoszeń odczytów, które przyjmuje przewodniczący lub też sekretarz zjazdów chirurgów polskich. Chorzy zamiejscowi, przeznaczeni do demonstracyi, jako też przyrządy i preparaty znajdą przez czas zjazdu pomieszczenie w klinice chirurgicznej“. Jednocześnie ze zjazdem odbędzie się wystawa narzędzi i przyrządów chirurgicznych, które nadsyłać można do kliniki chirurgicznej.

* * *

W dniu 19 kwietnia upłynęło lat 77 od śmierci lorda Byron'a. W dniu tym *Times* zamieszcza corocznie w rubryce „*In Memoriam*“ takie ogłoszenie: „Jerzy Gordon Noel lord Byron zginął śmiercią bohaterską za Grecyę pod Missolonghi, dnia 19 kwietnia r. 1824.

When love, who sent, forgot to save
The young, the beautiful, the brave“.
(Narzeczona z Adydos).

(Miłość, wyprawiwszy na pole bitwy, zapomniała ochronić od śmierci pięknego, dzielnego młodzieńca). — Pewien wielbiciel Byron'a przeznaczył znaczną sumę, aby w dniu tym składano co rok wieniec z róż *Meréchal Niel* na pomniku poety w Hyde-Parku i umieszczono wzmiankę powyższą w *Times*'ie dopóty, dopóki w opactwie Westminsterskiem, w kącie dla poetów przeznaczonym, nie będzie wypisane jedno słowo: *Byron.*

Z dziedziny wynalazków.

Nowe postępy fotografii.

W technice sztuki fotograficznej zachodzą zmiany zasadnicze.

Dotąd zdjęć dokonywano wyłącznie w porze dziennej, przyczem, zależnie od pogody i siły światła, „ekspozycya“ bywała krótszą (najmniej sekunda) lub dłuższą.

W porze zimowej zdjęcia są dokonywane w godzinach ograniczonych, a przytem trwają dłużej, z czego wynika przetrzymywanie osoby fotografowanej i nużenie jej, co ujemnie oddziaływa na żywość i naturalność fizjognomii.

Przed kilku dniami w Warszawie o g. 9. wieczorem, wobec zaproszonych przedstawicieli prasy, właściciele firmy J. Mieczkowski, okazywali nowy system urządzenia „altany“, zezwalający na dokonywanie zdjęć w porze wieczornej.

W altanie zupełnie zaciemnionej mieści się ściana oszklona, poza którą, za naciśnięciem guzika przy aparacie fotograficznym, następuje wybuch światła o silnem naprężeniu, zbliżonem do błyskawicy. Przy oświetleniu tem, gasnącem w ciągu $^1/_3$ sekundy (pozowanie odbywa się przy lampie gazowej), zdjęcia wychodzą niezwykle ostro, z wielką plastyką całości i szczegółów i, co najważniejsze, twarze osób portretowanych w przelocie, bez poprzednich przygotowań, drgają życiem i prawdą. Szereg zdjęć, dokonany podczas próby po niezwłocznem wykonaniu klisz, przekonał o tem zgromadzonych.

*

Na posiedzeniu berlińskiego Towarzystwa fotograficznego p. Gurtner pokazywał w tych dniach fotografie w barwach naturalnych, dokonane przez siebie. Wynalazca trzyma istotę swego wynalazku w tajemnicy. Pomiędzy odbitkami największy podziw budziła fotografia wyobrażająca papugi; bogactwo barw na tej reprodukcyi zdumiewające, nietylko barwy zasadnicze (z wyjątkiem purpurowej) są znakomicie oddane, ale i wszystkie odcienie odpowiadają najdokładniej oryginałowi; najkunsztowniejsze pomalowanie nie mogłoby wywołać takiego samego efektu harmonii barw. P. Gurtner chce najpierw wynalazek swój udoskonalić, a następnie opatentować i dla tego trzyma go w tajemnicy. Zapewnia on, że barwy powstały przy pomocy oświetlenia odpowiedniego; negatywu nie pokazał, podobno jednak nie jest on kolorowy. Barwna fotografia Gurtner'a wymaga soczewek bardzo mocnych i wystawienia na działanie światła przez 10—20 sekund; udało mu się jednak otrzymać barwy już przy ekspozycyi trwającej dwie sekundy. Przypuszczają, że wynalazek ten pociągnie za sobą częściowe przekształcenie nauki o barwach. Gurtner nie jest uczonym fizykiem lecz tylko fotografem-amatorem, który dokonał wielu prób i jedynie przypadkowi zawdzięcza tak doniosły wynalazek.

Od Wydawnictwa. W wydawnictwie i redakcyi „Tygodnika Narodowego“ zachodzą obecnie zmiany, celem ulepszenia naszego pisma. Z tego powodu zeszyt dzisiejszy wyszedł z opóźnieniem.

NADESŁANE.

Oświadczenie!

Tryumf zostaje wskutek olbrzymiego popytu często naśladowany, co nas spowoduje do wskazówki, iż do dobrego wykonania tegoż potrzeba nietylko pozwolenia lecz także doświadczenia, w celu utrzymania należytej formy. Upraszamy o dokładne przekonanie się, czy na każdym bucika jest wyciśnięta marka „Tryumf“ w celu uniknięcia bezwartościowej imitacyi — Równocześnie polecam czyszczenie bucików na rozciągaczu „Ideał“ wskutek czego pozostają takowe zawsze eleganckie i jakby nowe. Składy: **Lwów, Karola Ludwika l. 13 (Hotel Grande)** oraz we wszystkich głównych miastach monarchii.

4—6 **S. E. & H. Michelstädter.**

ADWOKAT

Dr. Franciszek Jasiński

otworzył kancelaryę we Lwowie

pl. Maryacki l. 8. 4—5

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym. 18—52

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego.

TUTKI

ze specyalnej bibułki „ABADIE"

„PRIMUS"

są powszechnie uznane za najlepsze!

Wszędzie do nabycia.

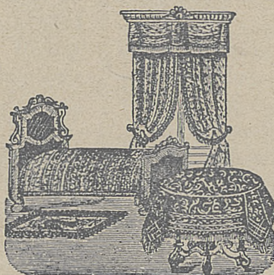
FABRYKA LWÓW MICKIEWICZA L. 2

26—52

Gotówka nie wymagana.

Ulgi w spłatach wedle umowy.

Cenniki na prowincyę na żądanie gratis i franco.



Wszelkie możliwe gatunki dywanów salonowych, ściennych, pokojowych i kościelnych tudzież chodników, portyer, firanek, cerat linoleum, kap na stoły i łóżka, kołder, koców, der na konie i przedmiotów dekoracyjnych poleca znana i renomowana firma

Wiedeński magazyn i skład dywanów

„AU LOUVRE"

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6. (pasaż Hausmana)

Filia w Przemyślu ul. Mickiewicza l. 4.

Prawdziwe perskie i oryentalne dywany po zniżonych cenach. — Specyalny oddział resztek i towarów wysortowanych i wadliwych.

22—44

H. HUTTER i W. KANNER

Pierwszorzędny skład papieru, przyborów do pisania i rysowania

(en gros & en detail)

„pod złotem piórem"

w Przemyślu

plac na Bramie l. 6.

Największy wybór w kartach widokowych i artystycznych.

7—12

KANTOR WYMIANY BANKU GALICYJSKIEGO

dla handlu i przemysłu

ul. Jagiellońska l. 3. I. piętro

(dawny lokal Banku kredytowego)

zawiadamia P. T. Publiczność, że kupuje i sprzedaje wszelkie **papiery wartościowe i waluty zagraniczne** po możliwie najskrupulatniejszych kursach, uskutecznia pod takiemi samemi warunkami wszelkie **zlecenia giełdowe** zarówno na giełdzie wiedeńskiej, jak i giełdach zagranicznych, wydaje na wszystkie znaczniejsze miejscowości świata i zagraniczne miejsca kąpielowe bezpośrednie przekazy i listy kredytowe, wreszcie **wypłaca wszelkie kupony** możliwie bez potrącenia jakiejkolwiek prowizyi inkasowej. 17—52

Godziny urzędowe: od 9—12½ przedpołudniem i od 3—4¼ popołudniu.

TUTKI

La Coronne, Dreyfus i Cartouche z prawdziwej bibułki francuskiej z watą

polecają

BRACIA PARNASS

Fabryka tutek i cygarniczek oraz wyrób cygarniczek

w BRODACH. 5—12

Główny skład rowerów angielskich aparatów fotograficznych i wszelkich przyborów.

Moim Szanownym P. T. odbiorcom udzielam wszelkie reperacye bicyklów **bezpłatnie**, zaliczam tylko dodany materyał. — Wypożycza się rowery.

Systematyczna szkoła jazdy na rowerze.

Dziękuję za dotychczasowe względy.

Z szacunkiem

7—10 **Herman Gottlieb.**

Ferdynand Güttler

Magazyn towarów modnych

Lwów, ul. Halicka l. 20.

Towar doborowy	**Boa gazowa**	**Aplikacye**
Wielki wybór	**Szale jedwabne**	**Pasmanterye**
Ceny niskie	**Żaboty**	**Paski**
	Weloniki	**Gorsety.**

27—52

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY

SOKAL i LILIEN

we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzące w zakres interesów bankowych. 28—52

Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

Wodociągi!

Pokoje kąpielowe, klozety, kanalizacye, oraz wszelkie urządzenia sanitarne, wykonuje ze zastosowaniem najnowszych ulepszeń pod fachowem kierownictwem autoryz. instal. W. Reklewskiego, inżyniera z Warszawy.

HENRYK EBER

LWÓW

ul. Mickiewicza l. 8., Tel. 669.

8—10

Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Szelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.